

Kierat to takie urządzenie wykorzystujące siłę pociągową zwierząt (koni lub wołów) do napędu stacjonarnych maszyn rolniczych takich jak siewczarnia, wialnia... Mnie jednak interesuje inna definicja tego słowa. To ekstremalny maraton pieszy organizowany w Beskidzie Wyspowym.

Na tej imprezie można stanąć w szranki z najtrudniejszym przeciwnikiem i zapewniam cię, że nie są to wilki czy niedźwiedzie. Walczy się z samym sobą i jakkolwiek patetycznie to zabrzmiało, taka jest prawda. 100 kilometrów nieprzerwanego marszu po górach Powiatu Limanowskiego to ciągle pokonywanie słabości własnej psychiki i ciała. Ból fizyczny, lęk wywołany nocnymi ciemnościami w mglistym lesie, gdy człowiek nie wie gdzie się znajduje. W końcu stałe utrzymywanie koncentracji i uwagi żeby nie zasnąć, znaleźć i prawidłowo wytyczyć azymut i nie skrócić nogi na kamienno-błotnistym podłożu.

Czy coś wiem na ten temat? Wystartowałem 24 maja o godzinie osiemnastej, a na metę dotarłem o 23:34 dnia następnego. Po drodze trzeba było odnaleźć piętnaście punktów kontrolnych w odpowiedniej kolejności. Choć nie były specjalnie poukrywane, jak to czasem bywa na Biegach Na Orientację, to dodając noc, mgłę i zmęczenie, nie było łatwo.

Jeśli masz ochotę zapraszam cię na osobistą relację z X Międzynarodowego Ekstremalnego Maratonu Pieszego KIERAT 2013.

Wszystko zaczęło się od wyznaczenia celu i zaimpregnowania motywacji. Reszta poszła „z górki”.

Jubileuszowa edycja jak przyznał sędzia główny Andrzej Sochoń była bardziej wymagająca niż poprzednie. Pozwól, że zacytuje komunikat z oficjalnej strony Kieratu:

*Na trudność tej trasy złożyły się: nieco większa niż zazwyczaj suma przewyższeń, rekordowe ilości błota na sukcesywnie zwilżanej deszczem trasie i związana z tym zmniejszona przyczepność obuwia do podłoża, gęsta mgła spowijająca szczególnie górne partie Ćwilina oraz odcinek specjalny w postaci Linii Obowiązkowego Przejścia Percią Borkowskiego pod Luboniem Wielkim.*

Od siebie dodam tylko, że najszybszy zawodnik Maciej Więcek dotarł na metę godzinę później niż zwycięzca z roku 2012 Maciej Dubaj.

Przed startem tego nie wiedziałem i moim marzeniem było ukończyć maraton, ale najlepiej w czasie poniżej dwudziestu czterech godzin. Jak dowiedziałem się po zawodach, takie czasy osiąga tylko elita zwana szybkimi turystami lub biegaczami. Do czasu wystrzału startera jednak zwiedzałem i odpręzałem się w Limanowej.



Bazylika Matki Boskiej Bolesnej w Limanowej.



Jedna z kopii figur Matki Boskiej na tyłach Bazyliki.



Sala sportowa zapelnia się zawodnikami. Atmosfera jak z czasów obozów wędrownych. Przekrój wiekowy niesamowity. Widać siwe włosy, ale i mleko pod nosem. Fantastycznie, przyjaźnie, nieskrępowanie. Brakuje mi trochę własnej ekipy. Czuję wsparcie z odległości, jednak to nie to samo co na miejscu.

Czasem czuję się napięcie jak w poczekalni u ginekologa. Ci, którzy jak ja startują po raz pierwszy, dostają dobre rady od starych wyjadaczy. Przejdziesz tylko musisz pokonać wszystkie kryzysy. To ile ich ma być? Pierwszy na 30 kilometrze i później... i jak zacznie padać, i zrobi się ciemno, i będzie mgła... Słyszałem, że pierworódki podobne historie o porodach wysłuchują od swoich bardziej doświadczonych koleżanek.

Czas na start. Pozytywne emocje i szczęście niepojęte. Przedemną przygodą życia. Takie emocje mi towarzyszyły. Wszystkiego byłem ciekaw. Poznałem fajnych kompanów i od razu robiło mi się raźniej, że w nocy nie zostanę sam w górskich lasach poza szlakiem.

No i przyjaźnie nastawiony znajomy może zrobić mi zdjęcie. To tuż przed rozpoczęciem maratonu.



Numer startowy 341 dobrze wróżył. Gdybym zakończył z takim wynikiem, na pewno bym zaliczył wszystkie punkty kontrolne i do mety dotarłbym w wyznaczonym limicie czasu.

Pierwsze trzy PK nie sprawiły trudności. Mimo, że mgła otuliła nas to wszyscy dobrze radzili sobie z przeciwnościami.

Do tego momentu nie było chyba żadnej rezygnacji. Humory dopisywały, choć niektórzy zaczęli odczuwać trudy pierwszych osiemnastu kilometrów. No i przewyższenie w drodze na szczyt Łopienia Środkowego (855) dało się we znaki.





Punkt czwarty to nie przelewki. Ciemna noc i gęsta mgła powodowały, że czołówka oświetlała czasem tylko kilka centymetrów przed stopami. Tam śliskie błoto, luźne kamienie i



głębokie kałuże. Następny punkt dość prosty nawigacyjnie jakby się wydawało. Powinniśmy trafić żółtym szlakiem. Jednak jeden mały błąd, chwila rozkojarzenia i szlak trafił szlag. Wylądowaliśmy na zakazanej drodze krajowej. Całe szczęście, że był chodnik prawie i po tym prawie chodniku dotarliśmy na punkt piąty. Niech zaświadczy o tym zdjęcie, choć powiało chłodem, czy też zmęczeniem do uwiecznienia mego wizerunku. Poprosiłem więc Wojtka, zgodził się chętnie.



Na szóstym punkcie zdjęcie zrobiłem sam. Droga bardzo gładko szła pod górkę. Napisałbym, że po prawej stronie mineliśmy szczyt Adamczykowa (611). Jednak to nieprofesjonalne i musisz wiedzieć, że chociaż to prawda to górkę zostawiliśmy od zachodu, a szlak ładnie trawersowałam. Przed nami raj obiecany. PK7, a na nim golonka, piwo dziewczyny i kościół. Tu w górach nie ma żartów i rozwiązań. Jak spodobał się jakiejś dziewczynie to kościół jest w każdej wiosce. Na zapowiedzi się daje po spojrzeniu dłuższym niż piętnaście sekund. I nikt ci nie uwierzy, że zmęczony byłeś po pod górkę miałeś.



Wyznaczamy trasę do naszego popasu. Darek i Piotrek tak wyznaczyli azymut, że na skuśkę, przez łąki, krzakory prawie pionowo w dół wpadliśmy na wyznaczony mostek. Po drodze

zadziwił nas tylko ogromny stos drewna. Na nizinach tak ogromnych nie widziałem. Z daleka nawet myślałem, że to siano.



Za mostkiem miało być prosto. To znaczy łatwo i szybko po jedzenie, i kawę, herbatę oraz barszcz z paćki. To łatwo i szybko to ponad godzina błędzenia po ścieżkach i mokrych łąkach Okragłej (626). O mały włos, a krążylibyśmy wokół naszego popasu na okragło tak długo, aż by nam wszystko wyjedli zgłodniaли kierowcy.



Ciepło i chwila odpoczynku. Kanapka grillowana, herbata z cukrem i kawałek suchej deski pod tyłkiem. Tyle potrzeba do szczęścia. Chwilo trwaj.



Po regeneracji nawet przystojniej na zdjęciach wyglądam. Chyba, że to tło (ogródek proboszcza), albo światło dzienne?

Idziemy na ósemkę, nawigacyjnie bułka z dżemem. Tylko, że na mapie niewinnie wyglądające poziomnice zwiastowały co nas czeka. Wspinaczka, po ślizgiej bardzo stromej drodze krzyżowej. Jak zobaczyłem pierwszy znak krzyża na drzewie myślałem, że był tu jakiś wypadek. Dopiero drugi czy trzeci znak uświadomił mi, że to droga krzyżowa. Dla mnie wspinaczka na Luboń Wielki (1022) to prawdziwy trening kardio, 45 minut i z językiem u pasa byliśmy przed schroniskiem. Ogrzewała nas myśl, że przez chwilę poczujemy się jak prawdziwi turyści. Zamówimy sobie herbatkę po góralsku, czy coś regionalnego. Niestety otwierali dopiero od dziesiątej i nie zdecydowaliśmy się czekać.



Było przed siódmą i zmiażdżyła nas informacja, że pierwszy zawodnik zameldował się wczoraj o 23. Wraz ze spadającym morale postanowiliśmy udać się w dół Percią Borkowskiego czyli

naszym LOP-em (LOP: linia obowiązkowego przejścia). Niesamowita nagroda, za to, że przybyliśmy po świcie. Widok skalnego szlaku zapierał dech w piersiach. Budził respekt i szacunek. Jednocześnie wdzięczność, że jest sucho przepelniała mnie całego. Gdyby popadało, łatwo stracić przyczepność i można runąć w dół po raz ostatni w całości.



Wszyscy zeszliśmy cało i szczęśliwie dotarliśmy na półmetek kilometrowy do kamieniołomu w Rabie Niżnej.





Ze względu na oszczędność baterii w telefonie to było ostatnie zdjęcie zrobione na trasie. Jak komandos zostawia ostatni nabój dla siebie, tak ja postanowiłem zostawić ostatni prąd w telefonie na rozmowę z taksówkarzem, żeby mu wytłumaczyć skąd ma mnie zabrać. Oczywiście nie przewidywałem takiego scenariusza. Woląłem pozostać jednak w gotowości jak robią to komandosi.

Na dziesiąty punkt, udaliśmy się sobotnim spacerkiem. Dziesięć kilometrów i skarpetki nie wytrzymały. Zrobiły mi się pęcherze, później pęcherze na pęcherzach i ani myślałem o rezygnacji. Na tym etapie marzyłem jeszcze, aby dojść na metę za widnego. Nie zakładać drugi raz czółówki. Takie tam marzenia. Nawet zaczęliśmy biegać z górki, gdy droga była w miarę równa. Wszystkie PK przed nami miały być proste i łatwe. Tylko nikt nie wie dlaczego tak trudno było je znaleźć. W drodze na trzynastkę nie wiadomo jak dotarliśmy na Kiczorę Kamienicką (1007) choć chcieliśmy się dostać na Wielki Wierch (1007). Wysokość ta sama, tylko kierunki nieco inne. Dobrze, że znalazł się jeden przytomny, który stwierdził, że z Wielkiego Wierchu nie możemy widzieć żadnego szczytu na północy, bo nie ma tam nic takiego na mapie. Z kolei z Kiczory mogliśmy a nawet powinniśmy to widzieć. Dlatego drogi na mapie nie pokrywały się z tymi w rzeczywistości. Choć czasami mapa prowadziła w maliny, bo jak się wyraził wrogo nastawiony tambylec, latają całą noc, światłami świeco po oknach, a mapy mają to po co na miedze włoży. Całe szczęście pan zmęczony był i pomyśl, aby postawił sobie płot wprawił go w osłupienie, a może to nawet była zaduma.

Czternastka schowała się bezszczerze przed nami. Już mieliśmy dzwonić do organizatorów, że sędziowie zeszli przed czasem,

albo wilki ich zjadły. Trafił się jednak przyjazny (jak większość) góral i powiedział, że to jakieś 100 metrów tam. Choć brakło sił niektórzy zasuwali na złamanie karku, żeby perforować swoje karty. Przed nami ostatni punkt i meta. Ostatnie czternaście kilometrów. Na mapie wszystko wyglądało niegroźnie. Jednak doszliśmy do ściany lasu i ktoś zgasił słońce. To co jest proste za dnia, przy świeżym i wypoczętym umyśle, w nocy, w lesie, na zabloconych drogach z kałużami do pół łydki i po nieprzespanej nocy i około 100 kilometrach w nogach jest nie lada wyzwaniem. Ostatni kilometr do ostatniego PK był najtrudniejszy. Góra – dół, tędy, nie tędy. Chociaż księżyc w pełni nam pomagał i chyba dzięki temu dotarliśmy na pół godziny przed zamknięciem. Na metę droga już naprawdę łatwa, tylko odległość. Ostatnie osiem kilometrów to najdłuższy odcinek w moim życiu. Szedłem noga za nogą, a w zasadzie człapałem, utykałem, kłąłem i modliłem się na przemian. Całkowicie wyczerpany, z pęcherzami pod całymi stopami dotarłem na metę w towarzystwie Jarka przewodnika beskidzkiego. Nogi miał zmasakrowane jak ja i dzięki temu że dotrzymał mi towarzystwa na tych ostatnich kilometrach dotarłem na metę o 23:34, po 29 godzinach i 34 minutach treningu kardio. Szczęśliwy i dumny z siebie.



Sam nie wiem co cenniejsze? Medal czy karta z perforacją na każdym punkcie kontrolnym? Teraz tylko statystyki, uroczyste wręczenie pucharów i medali, no i powrót do domu.

Do domu przez Kraków, a w Krakowie takie rzeczy.



Lewitująca dziewczyna. Czego to ludzie nie wymyślą?

W domu uroczyste powitanie ledwie chodzącego ojca i męża w jednej osobie.



Dla takiego powitania idę na Kierat jeszcze raz w przyszłym roku. Zabierasz się ze mną?